KSIĄŻNICA ŚLĄSKA

Książnica Śląska t. 42, 2026
ISSN 0208-5798
CC BY-NC-ND 4.0

KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ

Uniwersytet Śląski w Katowicach
ORCID: 0000-0002-5754-3036

Lwów Małgorzaty Janickiej (1941–2013)

Gośka, bo tak ją nazywano, urodziła się na Kresach, w letnisku Zimna Woda, na przedmieściach Lwowa, 5 sierpnia 1941 roku. Jej matka Janina była nauczycielką, ojciec Faustyn – urzędnikiem kolejowym, starszy brat Juliusz został w przyszłości reżyserem filmowym, związanym z łódzką „filmówką".

Lwów, z którego wyjechała z rodziną w 1945 roku, gdy zaczęła się ekspatriacja Polaków, zapamiętała z wyjątkową dokładnością, tak czule, jak to potrafią tylko Lwowiacy. Zmęczona trudami podróży rodzina wysiadła w Katowicach, właściwie przez przypadek, nie wiedząc, że pociąg pojedzie jeszcze dalej. Małgorzata spędziła tu wiele lat życia, zdała maturę i ukończyła studia, związała się z Klubem Wysokogórskim i zawarła harcerskie przyjaźnie na całe życie. Niestety, po trzech latach, w 1948 roku, źle znoszący wygnanie ze Lwowa ojciec zmarł na zawał serca.

W Katowicach ukończyła szkołę podstawową, średnią (LO im. M. Kopernika), a następnie studia w Wyższej Szkole Pedagogicznej na kierunku filologia polska. Pracę magisterską napisała pod kierunkiem doc. dr Mieczysławy Mitery-Dobrowolskiej. Już w latach szkolnych, w czasie wakacji i ferii zimowych, przyjeżdżała z rodzicami, a potem tylko z matką, do Zakopanego, zatrzymując się u Józefy Gąsienicy-Giewont, przy ulicy Kościeliskiej 62, z którą Janiccy byli zaprzyjaźnie-

ni od lat przedwojennych. Syn Józefy – Tadeusz Giewont, świetny przewodnik i ratownik tatrzański, uczył ich chodzenia po Tatrach[1]. Miał on dwie córki w wieku zbliżonym do Gosi: jej rówieśniczkę Hankę oraz młodszą Tosię (Antoninę); Gośkę natomiast traktował jak trzecią. Z obiema dziewczynkami bardzo się zaprzyjaźniła. Po Tatrach chodziła też z bratem, który zastępował jej wcześnie zmarłego ojca.

W 1963 roku osiadła na stałe pod Tatrami; była już wtedy członkiem zwyczajnym Klubu Wysokogórskiego. Miała wszelkie predyspozycje, by zostać wybitną taterniczką, ale przydarzył się jej wypadek w Tatrach, na Kozich Czubach, podczas wspinaczki z Lesławem Frączkiem. Doznała wówczas poważnej kontuzji prawej ręki, którą zmiażdżyła spadająca wanta. To wydarzenie przekreśliło jej marzenia o ekstremalnej wspinaczce. Kończyła właśnie pisaną pod kierunkiem doc. dr Mieczysławy Mitery-Dobrowolskiej pracę magisterską na temat *Humoru w powieściach Kornela Makuszyńskiego,* bywała więc często w Muzeum Kornela Makuszyńskiego w Zakopanem przy ul. Kazimierza Przerwy-Tetmajera. Pisanie nieco się przeciągało, właściwie już powinno było się zakończyć, więc podirytowana pani Janina Gluzińska-Makuszyńska powiedziała jej kiedyś: „Pani Małgosiu, to Kornel zrzucił tę wantę, bo już dość czekania na Pani magisterium". Istotnie, Makuszyński zmarł 31 lipca 1953, a wypadek zdarzył się 1 sierpnia w 1964 roku. Tak naprawdę jednak pięknie się z panią Makuszyńską zaprzyjaźniła, dużo ze sobą rozmawiały, także o Lwowie, gdyż ojciec pani Makuszyńskiej był profesorem medycyny w Uniwersytecie Lwowskim.

Podejmując decyzję o wyjeździe ze Śląska, powiedziała, że całą podłość tego świata może znieść tylko w pięknym krajobrazie. Ponieważ już w pierwszych latach swojej pracy pedagogicznej prowadziła drużynę harcerską, więc i harcerzy, i młodzież szkolną chciała wieść w góry. Pragnąc czynić to legalnie, zapisała się na kurs przewodnicki i w 1970 roku uzyskała uprawnienia przewodnika tatrzańskiego III klasy, a potem również instruktora narciarskiego. Na egzaminie zapytano ją o powstania śląskie; otrzymała wysoką ocenę, z której była bardzo dumna. Koło Przewodników Tatrzańskich PTTK im. Klimka Bachledy uhonorowało ją wiele lat później Złotą Odznaką i tytułem Zasłużonego Przewodnika Tatrzańskiego.

Wycieczki przygotowywała bardzo starannie, oprowadzała w dniach wolnych od pracy oraz w miesiącach wakacyjnych. Z młodzieżą miała świetny kontakt, co w połączeniu z wiedzą o Tatrach i ich obecności w kulturze dawało znakomite rezultaty dydaktyczne. Jej wrażliwość i rozległa wiedza czyniły z niej przewodnika wyjątkowego. Na prowadzonych przez nią wycieczkach nie wolno było pić alkoholu. Na początku wyprawy mówiła: „Na zakończenie wycieczki zawiozę Państwa w takie miejsce, gdzie będziecie mogli sobie wypić" i… dotrzymywała słowa. Wiozła swych podopiecznych do Poronina, pod muzeum „twórcy rewolucji proletariackiej" W. I. Lenina, a żegnając ich, mówiła: „Tu możecie sobie Państwo wypić", po czym z uśmiechem na ustach odjeżdżała. Była też aktywnym członkiem

[1] Por. K. Heska-Kwaśniewicz, *Ojciec i córka (Legendarny przewodnik tatrzański i góralska poetka)*, [w:] tejże, *Ludzie, góry, książki*, Katowice 2006, s. 124–150.

Koła Miłośników Lwowa. Zaprzyjaźniła się serdecznie z inną Lwowianką, dr Danutą Haczewską, znaną lekarką zakopiańską, która mówiła, że ma dwie miłości: „dzieci góralskie i Lwów”[2].

Małgorzata Janicka była człowiekiem wielu talentów. Pracując w różnych szkołach, prowadziła w nich amatorskie zespoły teatralne. Ukończyła ponadto kursy malarstwa na szkle, prowadzone przez Jana Jachymiaka, a także uczyła się akwareli u p. Grabowskiej, uczennicy Juliana Fałata. Bardzo pięknie malowała zarówno na szkle, jak i akwarele. Znakiem rozpoznawczym jej obrazków i szkiców było charakterystyczne dla przedstawionych postaci poczucie humoru. Przez długi czas marzyła, by zilustrować komiks opracowany na podstawie powieści *W pustyni i w puszczy* Henryka Sienkiewicza. A jednak to wszystko zdominowały góry, bo one w jej życiu stały się najważniejsze.

W Zakopanem podjęła pracę w szkolnictwie, najpierw w Szkole Podstawowej nr 5 („Leśnym Grodzie”) przy Chramcówkach, gdzie jako polonistka musiała prowadzić lekcje matematyki, śpiewu i robót ręcznych. Jej ówczesny kierownik, niejaki Nosek, powiedział, że nie wierzy, „że na polonistyce nie ma ani godziny matematyki” (sic!). Tośka – Antonina Gąsienica, wspominała:

> Przygotowywała tam z młodzieżą nieraz akademie, z okazji różnych okazji i uroczystości. Na jednej z nich wystąpił uczeń klasy IV Józiu Tatar, mój sąsiad, który miał zaśpiewać po góralsku i zaśpiewał: „Kiedy my się ześli, napijmy się razem, bo nasa ojczyzna zakuto żelazem”, no i konsternacja. O mało nie oberwało się Gosi, ale Józiu był dzieckiem upośledzonym, słyszał taką przyśpiewkę w domu, to zaśpiewał i sprawa nie nabrała rozgłosu[3].

Gośka była odważna i obdarzona fantazją, nauczyła dzieci niejednej pieśni antyreżimowej, a jedną z jej ulubionych był utwór: „Za Katyń, za Sybir, za Wilno i Lwów zapłaci czerwona hołota”.

Przez kilka lat Małgorzata Janicka była kierowniczką internatu z ZSHT (Technikum Hotelarskie), a od 1969 roku związała się na stałe z Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych, w którym pracowała przez 36 lat, aż do emerytury. Kochała swoją pracę „w Kenarze”, pięknie i z dużą inwencją prowadziła lekcje języka polskiego, a młodzież z wdzięcznością doceniała jej wysiłki. Jej dom był pełen pamiątek: zdjęć z wycieczek szkolnych, rzeźb i różnych przedmiotów wykonanych przez uczniów. Gdy w trakcie wyprawy na Broad Peak zginął jej ukochany uczeń Maciej Berbeka, napisała o nim serdeczne wspomnienie pt. *Zawsze mogłam na nim polegać… Wspomnienie o Macieju Berbece*[4], które wydrukowały „Wierchy”. Niestety, nie zdążyła już zobaczyć swego tekstu w postaci drukowanej.

Dużo podróżowała, w ogóle żyła z wielkim rozmachem, barwnie zaznaczając swą obecność w życiu towarzyskim Zakopanego. Kilkakrotnie też wyjeżdżała do Lwowa, a jej syn Bartek ożenił się w styczniu 2004 roku z Lwowianką – Agnieszką. Wesele było huczne: lwowsko-góralskie.

---

[2] https://www.watra.pl/zakopane/wiadomosci/2017/02/21/zmarla-pani-danuta-haczewska [dostęp: 1.03.2026].

[3] Tekst udostępniony autorce przez Antoninę Gąsienicę.

[4] M. Janicka, *Zawsze mogłam na nim polegać… Wspomnienie o Macieju Berbece*, „Wierchy” 2013, r. 79, s. 15–18.

Ryszard Szafirski w książce wspomnieniowej *Przeżyłem więc wiem* pisał:

> Nachodzi mnie refleksja, że z Tatrami i Zakopanem związałem się też między innymi dzięki owianym legendami imprezom Klubu Wysokogórskiego Zakopane, tak zwanym Małgorzatkom. Organizowane były w bajkowej scenerii Przysłopu Miętusiego (w nieistniejącym dziś maleńkim schronisku Ptasia), w imieniny Małgorzaty Janickiej, która była istotą bardzo towarzyską, zapraszała całe śląskie towarzystwo wspinaczkowe, jako że właśnie ze Śląska pochodziła. Choć nie byłem Ślązakiem, kiedyś załapałem się na tę zabawę i udało mi się uwieść Aleksandrę Łaptaś, Alę, a może było odwrotnie. To poważnie zaważyło na moim życiu, a małżeństwo moje i Ali przepowiedział nasz kolega i przyjaciel, Michał Jagiełło (była sympatia Ali)[5].

***

W ostatnich latach życia, już na emeryturze, nadal w miarę możliwości spędzała czas aktywnie, choć trudniej jej było się poruszać i mówić, była bardzo schorowana. Dopiero po operacji karku w szpitalu Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi poczuła się trochę lepiej. A jednak nie narzekała. Właśnie wtedy, na prośbę piszącej te słowa, sporządziła poniżej zamieszczony tekst.

Gośka miała wyjątkowo trudne życie, obfitujące w tragiczne wydarzenia, a jednak zachowywała uśmiech i pogodę ducha. Tak było aż do fatalnego, śmiertelnego w skutkach, wypadku na stoku narciarskim w Białce Tatrzańskiej. Wszyscy, zwłaszcza jej sąsiad Władysław Cywiński, odradzali jej wyjazd, ale ona widocznie czuła jakąś wewnętrzną potrzebę…

***

„Żegnam Cię, Gosiu, w imieniu wszystkich przewodników tatrzańskich, taterników zakopiańskich i tych przyjaciół i znajomych z górskiego środowiska śląskiego, wrocławskiego i zakopiańskiego”[6], powiedział Apoloniusz Rajwa na cmentarzu. Żegnały Ją też Tatry, wyjątkowo piękne i wysłonecznione, w tym dniu, żegnała ukochana wnuczka Iza (ur. 2004) i płaczący tłum.

***

[5] R. Szafirski: *Przeżyłem więc wiem. Nieznane kulisy wypraw wysokogórskich*, spisała i oprac. K. Tasz, Warszawa 2014, s. 105.

[6] Cyt. za: A. Rajwa, K. Heska-Kwaśniewicz, *„Bez Tatr nie wyobrażam sobie życia”. Małgorzata Janicka (1941–2014)*, „Wierchy” 2015, r. 81, s. 280.





Małgorzata Janicka,
fotografie ze zbiorów rodzinnych

Małgorzata Janicka

Mój wyjazd ze Lwowa

Kilka miesięcy przed przymusowym wyjazdem ze Lwowa [1945 roku – KHK] zamieszkaliśmy u ciotki Sztabowej przy ulicy Kasztelańskiej. Miałam wtedy niespełna cztery lata i nie mogłam zrozumieć grozy sytuacji, która zamykała Polaków, mieszkańców tego bohaterskiego miasta, w coraz tragiczniejszy krąg historii.

Dorośli byli ciągle podenerwowani, gdzieś biegali, coś załatwiali; nikt nie miał czasu dla dzieci. Szukały siebie nawzajem, wymyślały zabawy dotąd nigdy nie znane dzieciom. Gdy nawet pojawiała się czasem sytuacja zwyczajna w normalnym życiu, to kończyła się ona często dosyć bezceremonialnie w tamtym czasie. I tak pewnego razu miałyśmy pójść na spacer. Matka pozwoliła mi nieco wcześniej wyjść przed bramę domu, ale mnie zwabił do głównej ulicy, Grodeckiej, huk jadących tą ulicą czołgów. Dostałam wtedy porządnie w skórę, a na dodatek zobaczyłam za chwilę na Placu Jura zabitego konia i właściwie przestałam tęsknić do spacerów. Nie rozumiałam skąd się bierze to ciągłe zdenerwowanie mamy? Tymczasem ani ona, ani nikt z dorosłych nie myślał o konieczności rozmowy z takim małym dzieckiem. Zostawałam sama ze swoimi dziecięcymi pytaniami, wątpliwościami, ale i z marzeniami.

Nagle w tym dziwnym i obojętnym wobec dzieci świecie zaczęło coś się przyspieszać i zmieniać! Wzrastało napięcie. Dorośli stali się jeszcze bardziej zdenerwowani, coś szybko do siebie mówili, często płakali. Mnie nie pozwalano samej wyjść nawet na ganek, skąd dotąd obserwowałam kobietę tuczącą kluskami gęś. Przestali też odwiedzać „te dwie", mieszkające po drugiej stronie ganku, radzieckie „oficery"… Coś nieuchronnie zbliżało się, co i ja wyczuwałam, ale nikt mi tego wyraźnie nie wytłumaczył. Powiedziano mi tylko, że znowu gdzieś pojedziemy, ale obok pojawiło się nowe słowo, którego grozę odczułam instynktownie, a było to słowo: „na zawsze".

Widziałam przerażone twarze dorosłych, a dla dziecka nowe sytuacje były nawet dosyć wzruszające. Żegnaliśmy kościoły – szczególnie kościół św. Elżbiety, place, domy. Najwyraźniej zapamiętałam pożegnanie Cmentarza Orląt, gdzie znowu nie mogłam zrozumieć zachowania mamy. Przecież często tam z nią chodziłam obok, na Cmentarzu Łyczakowskim był grobowiec rodzinny. Dopiero co pochowano w nim dziadka Stanisława, który zmarł w marcu tegoż nieszczęsnego roku 1945. A na Cmentarz Orląt to nawet lubiłam chodzić, bo były tam groby niedużo większe ode mnie. Były one z szarego kamienia i rosły na nich liliowe maki. Wtedy chciałam urwać kwiatek, zapewniając, że zasuszymy go w książce. Jednak zdenerwowana matka nie pozwoliła mi nawet dotknąć tego miejsca, określając je słowem: „to jest święte". Jak mogłam się czuć, gdy w latach siedemdziesiątych dotarłyśmy z matką do zamkniętej bramy, nad którą tkwił napis *Semper Fidelis* i po wspięciu się na nią zobaczyłam tylko kupę gruzowiska? Ale to już inne wspomnienia, inne przeżycia, które towarzyszą mi przez całe życie, gdy tylko usłyszę słowo: LWÓW.

Tym razem wrócę do tych smutnych wspomnień, wyrzucenia nas z ukochanego miasta. Fakt ten nastąpił we wrześniu 1945 roku. Rodzice, a właściwie praktyczny i zapobiegliwy ojciec spakował w krótkim czasie kufry i kosze, a w nich najpotrzebniejsze dla życia przedmioty. Mnie to specjalnie nie interesowało, ale z podziwem obserwowałam matkę, która zabierała pudło z kapeluszami i patefon z płytami – oczywiście tłukącymi się – wśród których były i moje, dziecinne, ulubione, „jeszcze przedwojenne". Brat, bo los obdarzył mnie tylko jednym bratem, spakował do plecaka, pod dyktando mamy, kilka książek i albumy rodzinne. Podobno ze mną nie było specjalnego kłopotu, bo cóż może chcieć zabrać czteroletnie dziecko? Oczywiście zabawki, których ja nie miałam. A właściwie to miałam, ale to była moja wielka tajemnica i nie tylko tajemnica. Moja maleńka drewniana laleczka – pionek szachowy – była moim pierwszym, świadomym grzechem. Ukradłam ten pionek spod łóżeczka mojego kolegi, Ukraińca, czekając na jego zbudzenie. Laleczka była prześliczna, zapomniana i prosiła, żebym ją wyciągnęła stamtąd. Schowałam skarb do kieszeni i już nie czekałam na Władunia.

Teraz, w dniu wyjazdu, trzymałam laleczkę głęboko w kieszeni i zapewniałam ją, że nigdy jej nie opuszczę. Obserwując krzątających się dorosłych, zauważyłam, że nikt nie zabiera mebli. A ja przecież miałam swój ulubiony mebelek, jakim była mała, biała ławeczka, przy której jadałam posiłki. Ponieważ wiedziałam, że tak wyglądają ławki szkolne, marzyłam sobie o przyszłej nauce w tej właśnie ławeczce. Dlatego musiałam ją zabrać. Ojciec początkowo nie chciał się zgodzić, ale to był mały mebelek, a ja tylko o to jedno prosiłam.

Zbliżała się godzina odjazdu. Na stacji narastał hałas, nawoływania, płacze. Przydzielono nam dziwny wagon, który właściwie mi się podobał, bo był bez dachu. Potem słyszałam, że taki był cały skład. Jedyny wagon z dachem, ten najlepszy, to był po prostu wagon bydlęcy, w którym jechały chore dzieci i w którym gotowano kawę, którą rozdawano na postojach.

Ojca podziwiałam cały czas, bo był dowódcą naszego wagonu. Dyrygował cały czas, ustawiał, przestawiał. Oprócz naszej rodziny tata zabrał jeszcze pod opiekę dwie starsze panie ze swoimi tobołkami. Była to pani Rosjanowa (chyba takie nazwisko?) i pani Bombasowa, która wyznaczyła nam wszystkim konkretny kres naszej tułaczki. To stacja Katowice, gdzie mieliśmy wysiąść, bo w tym mieście syn pani Bombasowej był księdzem w Kościele Garnizonowym. Zanim jednak oddaliśmy w ręce rodziny Bombasów starszą panią, czekały nas dwa tygodnie jazdy otwartym wagonem, w jesiennej, deszczowej aurze. Ojciec – jako kolejarz – sprawnie poukładał bagaże i nasze, i naszych współtowarzyszek niedoli, co nie znaczy, że w takim stanie dojechały do celu. Panie miały dwa razy więcej tobołków niż nasza czteroosobowa rodzina.

Jeszcze w czasie pakowania patrzyłam ze strachem na ławeczkę, którą ojciec ciągle odrzucał, mówiąc, że niepotrzebna. A ja uparcie ją podsuwałam, aż ku mojej radości wrzucił ją na samym końcu, na wierzch bagaży. Laleczka siedziała bezpiecznie w kieszeni i do dzisiaj ją posiadam, sama nie wiem, czy przynosi mi szczęście, czy odwrotnie?

A ławeczkę spotkał nieszczęsny los. Któregoś tam z rzędu dnia pociąg jechał trochę szybciej, gdyż najczęściej jechał powoli. Padał deszcz, mama zasłaniała mnie wanienką. Nagle pociąg ostro zakręcił, aż nami zatrzęsło, a ławeczka ku memu przerażeniu spadła na zderzaki i słyszałam, jak ją zdruzgotały. Wtedy sobie cicho powiedziałam, że nigdy nie pójdę do szkoły. Ale ani tego, ani wielu innych postanowień nie udało mi się w życiu do końca zrealizować.

Wracając do tej nieszczęsnej podróży pamiętam i takie sytuacje, które mogły się skończyć bardziej tragicznie. Było to już niedaleko Katowic, podobno koło Szczakowej. Pociąg stał już dosyć długo, ale nigdy nie było wiadomo, kiedy ruszy. Mógł nagle odjechać i dlatego nie wolno było się oddalać. W taki sposób zaginął na zawsze, jeszcze na naszych ziemiach kresowych, syn znajomych, państwa Parcelów. W czasie tego nieszczęsnego naszego postoju brat musiał wyjść za potrzebą. Jakież było przerażenie rodziców, gdy nagle zobaczyli go prowadzonego pod bronią przez radzieckich żołnierzy, gotowych rozstrzelać chłopca, ze słowami: „to szpion". Ojcu udało się jakoś udobruchać Sowietów, ale gniew i bunt w sercach rodziców stawał się coraz większy. Ojciec musiał lawirować między jedną a drugą sytuacją. Przypominam sobie, że najbardziej był bezradny wobec pań, które nam towarzyszyły w tym exodusie. Brakowało mu wtedy jego sprytu, zaradności, a puszczały nerwy. Ja zapamiętałam te sytuacje jako coś ciekawszego w monotonnej jeździe pociągu, ojciec zapamiętał je chyba nieco inaczej. Od czasu do czasu któraś z pań zaczynała czegoś najpierw sama szukać, ojciec wtedy już patrzył na nią podejrzliwie. Po chwili można już było usłyszeć pytanie stawiane ojcu: „A… panie Janicki, czy aby na pewno zapakowaliśmy ten zielony kuferek? Czy nie został na dworcu?". Ojciec, znający już dalszy ciąg pytań, odpowiadał krótko: „Zabraliśmy". Ale dla pytającej taka odpowiedź była za mało przekonywająca. Dopytywała uparcie tak długo, aż doprowadziła ojca do szału; zaczynał wtedy przekopywać wszystkie toboły tak długo, aż znalazłszy, ze słowami: „do jasnej cholery, jest!" kończył tę tragikomiczną sytuację. Takie sceny powtórzyły się kilkakrotnie i były swoistym urozmaiceniem podróży. Całe szczęście, tylko dwie panie szukały przez dwa tygodnie dorobku swojego życia i ojciec mógł to jakoś przeżyć.

Stacja Katowice była wybawieniem z tortur tułaczki i nikt wtedy nie wiedział, że nasz transport pojechał dalej do Gliwic, do Wrocławia. Tam można było w tym czasie znaleźć jeszcze dużo korzystniejsze warunki życia niż w samych Katowicach. To miasto było już splądrowane przez szabrowników, mieszkania frontowe pozajmowane przez tych, którzy uprzedzili ekspatriantów. Ojciec nie miał już przypuszczalnie siły uciekać, pakować rodziny i jechać w nieznane. Za świeże były jeszcze wspomnienia ucieczki przed Ukraińcami z Zimnej Wody – w czasie wojny w granicach Wielkiego Lwowa.

Dlatego zostaliśmy w Katowicach i zamieszkaliśmy przy głównej ulicy [Warszawskiej – KHK]. Pamiętam dobrze ten pierwszy dzień. Całą rodziną udaliśmy się do Kościoła Przemienienia Pańskiego, aby podziękować Bogu za szczęśliwy kres tułaczki. Wtedy ojciec powiedział słowa, które dobrze zapamiętałam: „Tu jest teraz nasza Ojczyzna i tu będziemy mieszkali".